Ner 36. Kraków 11 grudnia 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Nr. 36. — Dwa epizody z życia Heinego, streścił i uwagami krytycznemi objaśnił Lucyan Tomasz Rycharski (ciąg dalszy). — Transport towarów z gubernii Kijowskiéj (drzeworyt). — Nowy gladiator (wiersz) przez Aleksandra. — Niepocieszona wdowa czyli Planeta i Satelici, komedja w 4-ch częściach, prozą z francuzkiego przełożyła Ludwika Sabowska (ciąg dalszy). — Teatr, przez O...le. — Przegląd krytyczny, przez O...le. — Sprawozdanie z pierwszego posiedzenia komitetu kobiet w Berlinie (dokończenie).

Dwa epizody z życia Heinego

streścił i uwagami krytycznemi objaśnił

LUCYAN TOMASZ RYCHARSKI.

(Ciąg dalszy).

Zawsze samemu z jego cierpieniami, noc, w któréj wszystko spoczywa, musiała być dla niego okropnie dręczącą męczarnią. Ani sen nie zmrużył strudzonych jego powiek, ani światło nie śmiało złagodzić katuszy téj nędzy. Powietrze i światło nie były dla niego już żadnemi żywiołami — i on pierwszy rozwiązał zagadkę, iż można bez tych żywiołów istnieć siedm lat.



TRANSPORT TOWARÓW Z GUBERNII KIJOWSKIÉJ.

Gérard opowiedział mu, iż w przeciągu kilku dni zamyśla wyjechać do Wajmaru.

— Szczęśliwcze — zawołał Heine z pewném westchnieniem; ja te Niemcy więcéj kochałem, niż było rozsądnie. Spodziewam się jednak, iż tego głupstwa nie popełnię, abym miał tam umrzeć. Ale zrób mi przysługę przy téj sposobności, i zapytaj się w Niemczech, w jakiém wyznaniu religijném najlepiéj się umiera. Ja teraz na serjo zajmuję się tą kwestją, a niemieccy filozofowie zdają się o tém nic nie wiedzieć; gdyż od pewnego czasu nic o nich nie słychać.

Najwięcéj dziwiło mnie, iż Heine mówił to wszystko z obliczem niezmienioném, bez wyrazu, głosem urywanym ale mile brzmiącym. Bez szczególnego zajęcia opowiadał nam przez godzinę o dość obojętnych rzeczach. Nagle jednak rysy jego przybrały wyraz jakiejś radości.

— Zanim odjedziesz Gérardzie, odszukaj mi jeszcze moją Klelię. Nie prawda? przyrzekasz mi to? Mała ta i zabawna kotka nie była u mnie już od dwóch tygodni; może sobie wyszukała jakiego kochanka w Ambigu; powiedz jéj jednak odemnie, iż jéj ról gościnnych bynajmniéj nie ganię, i że jéj chory Henryk zawsze do niéj tęskni.

Przyznam się, że te słowa niemało mnie zadziwiły; panna Klelia byłato, jak się później dowiedziałem, aktorka z teatru Ambigu, i jedna z tych, która z dawniejszych czasów zachowała w sobie jeszcze przywiązanie do chorego teraz kochanka.

— Przyprowadź ją tutaj Gérardzie — mówił daléj Heine, kiedy go tenże zapewnił, iż życzeniu jego uczyni zadość; — żadna dziewczyna nie opowiada tak zabawnie swych miłostek jak ona. Przypominasz sobie Gérardzie, jaką była wesołą, kiedy nam opowiadała, jak twojéj Adrjannie odbiła kapitana z gwardji narodowéj?

Gérard śmiał się; lecz śmiech ten igrał na bladych ustach. Adrjanna była pierwszą młodzieńczą miłością Gérarda de Nerwal, któréj nigdy nie zapomniał, a która dużo się do tego przyczyniła, iż uczony ten pogrążony zawsze w łagodnéj melancholii, chory był na sercu i duszy. Adrjanna była później zakonnicą, a następnie dość zwyczajną śpiewaczką; martwiło to biednego Gérarda, a kiedy wkońcu umarła, zniknął także wszelki urok i marzenie z jego piersi, i nie pozostawało mu nic więcéj, jak tylko na zgliszczach tego marzenia wzdychać i płakać w ukryciu. Kiedy mu więc teraz Heine o tém przypomniał, musiał jego miękkiemu i melancholijnemu usposobieniu dość gorzką sprawić boleść; ale Heine lubiał zadawać swym przyjaciołom razy i ciosy przykre, i dowcipami, jakich się względem nich dopuszczał, doświadczał ich przyjaźni; — „gdyż, jak mówił, pocóż nam przyjaciele, jeżeli się dla żartów chcą gniewać?“

Małą próbkę téj teorji miałem teraz właśnie; Gérard się bynajmniéj nie rozgniewał, ale zrobił na to gest, który na usta Heinego wywołał śmiech serdeczny. Wewnętrzny świat tego poety niemal zawsze był ukryty przed wzrokiem profanów; od dawnych lat był on duchowo znękany i schorzały, a jednak żadne jego pismo stanu tego nie zdradziło.

W czasie naszéj wizyty wziął Heine z pobok stojącego stolika mnóstwo porozpraszanych zapisanych kartek i dał je Gérardowi, z prośbą, by mu te wiersze przetłumaczył na język francuzki.

— Wielki ten poemat chcę najpierw w „Revue des deux Mondes“ publikować; ale nie przepomnij mi powsadzać tam odpowiednie zelżywe wyrazy; chciałbym koniecznie, aby były dobitne, gdyż dotyczą Niemiec. Jest tam mnóstwo psów, które na mnie szczekają, niechaj się przekonają, że jeszcze pisać mogę i umiem. Pisk i skomlenie tych durniów, kiedy ich bicz mój trafia i smaga, sprawia mi większą przyjemność, niż jakakolwiek serenada.

Na małym stoliku przed łóżkiem Heinego leżało dużo jeszcze zapisanego papieru i stos białych kartek. W początku swéj strasznéj choroby nieszczęśliwy poeta nie mógł żadną miarą pisać; paraliż, który go dotknął, zbezwładnił wszystkie jego członki. Znakomitemu lekarzowi doktorowi Gruby udało się wreszcie przywrócić Heinemu o tyle przynajmniéj zdrowie, iż mógł poruszać rękami, i tym sposobem wiele samotnych godzin zapełniać pisaniem swych poezji. Na pulcie, zawieszonym sztucznie ponad jego łóżkiem, rysował Heine raczéj niż pisał, ołówkiem, swe wiersze całowemi niemal głoskami, tak, iż każdy dokładnie paginowany świstek papieru zaledwie kilka zawierał wierszy.

Nareszcie pożegnaliśmy się.

Kiedy już byliśmy na ulicy, ujrzeliśmy przejeżdżający tuż obok nas powóz, a w nim nadzwyczaj gustownie ubraną, sympatyczną, bardzo piękną i dość silnie zbudowaną kobietę. Oczy jéj podobne były do jaskółczych; ale dowcip, który z nich strzelał, bladł nieco przy malém czole i wielkich ustach, tak iż fizjonomja téj damy sprawiała wrażenie jednego z tych łagodnych i niewinnych charakterów, jakie albo każdą drobnostką żywo się zajmują, lub też mają wewnętrzne współczucie dla każdego *nic* na świecie.

— Voilà madame Heine! — szepnął mi Gérard. — Uprzejme skinięcie głowy odpowiedziało naszemu powitaniu. Mimowoli spojrzałem za powozem, który zatrzymał się przed bramą domu, gdzie mieszkał Heine. Była to więc wybrana tego męża, który tak wiele kochał i tak wiele z miłości szydził!

— A jakże żyje Heine z swą żoną? — zapytałem Gérarda.

— Ah que ça — odrzekł przyjaciel jego, śmiejąc się — c'est un jeu de famille, comme il dit!

Po téj przypadkowéj wizycie u chorego poety, powziąłem dla niego żywe wewnętrzne współczucie, tak, iż często o stosunki Heinego wypytywałem Gérarda, który téż mnie z największą ochotą we wszystkiém objaśniał.

Henryk Heine pobierał od swéj rodziny rocznie 6000 franków, i również tyle od swego nakładcy Campe, który za to miał prawo nakładowe do wszystkich jego wyszłych i mających za życia wyjść dzieł. Summa ta jednak nie wystarczała bynajmniéj na wydatki Heinego; przy końcu każdego roku miał on zwykle kilka tysięcy franków długu. Niektóre kobiety, które dawniéj w ścisłych żyły stosunkach z poetą, poczytywały sobie za zaszczyt, jeżeli mogły pokrywać *deficit* w kasie Heinego, skoro się tylko o tem gdziekolwiek dowiedziały. Tym sposobem handlarze win odsełali Heinemu znaczne rachunki już pokwitowane, jeśli takowych zażądał. Płaciła je z wielkiém zdumieniem Heinego bogata pani F....., któréj poeta dawniéj przez sześć lat płacił miłością.

Za to z drugiéj strony Heine był z pełném sercem nadzwyczaj hojnym w swych dobrodziejstwach. Wspomagać przyjaciół w ich potrzebach, było u niego zasadą, którą z taką wykonywał uprzejmością, iż nigdy nie myślał o zwróceniu sobie pożyczonéj sumy. Młody malarz, Benoit, którego nasz poeta poznał w kawiarni, przyznał mu się raz, iż nie ma żadnych środków na wykończenie rozpoczętego portretu. Heine nazajutrz posłał mu 300 fr.,

z prośbą, aby się z swym obrazem zbyt nie spieszył. — Młody jeden bardzo utalentowany poeta był raz w rozpaczy, ponieważ kiedy miał zostać żołnierzem, nie miał odpowiedniéj ilości pieniędzy na wyszukanie i przedstawienie za siebie zastępcy. Gérard w rozmowie z Heinem opowiedział mu to nieszczęście znanego im młodzieńca. Heine przywołał natychmiast do siebie zrozpaczonego poetę i udał się z nim do paryzkiego bankiera, który wysłuchawszy całéj sprawy, jaknajchętniéj wyliczył mu 1000 franków — za ich pomocą młody człowiek znalazł naturalnie zastępcę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWY GLADIATOR.

Dzisiaj podarte z kontusza łachmany
I zardzewiała szabla w pochwie gnije,
Na rękach nosi żelazne kajdany
Trup ten. — Lecz serce jeszcze w piersi bije
I dumny wzrok ma taki zagniewany!...

A nie rozjaśni uśmiech jego czoła,
Ani pierś jęku nie wyda rozpaczy,
Ani o pomoc w nieszczęściu zawoła,
Choć opuszczony — żalić się nie raczy,
Ani do prośby poniżyć się zdoła...

I choć samotny do nieszczęścia skały
Jak Prometeusz przykuty dziś kona,
Łachmany blasków chociaż mu zostały,
A czoło gniecie Chrystusa korona!
Trup dziś — lecz jeszcze groźny i zuchwały!...

Co dnia sęp nowy na pierś mu zlatuje
I szpony w serce zatapia głęboko,
I co dnia czoło piorun mu zrysuje.
Ten dumny — przecież pogodne ma oko,
Prometeusza dziś bolów nie czuje!

Dzisiaj go wszystkie ludy się wyparły
Jak niewolnika — pisząc mu na skroni
Ten jeden wyraz okropny — Umarły!...
I choć mu berło wytrącono z dłoni,
On — tak bez berła olbrzym — przy nim — karły...

Kraków, październik 1869.

Aleksander.

NIEPOCIESZONA WDOWA

CZYLI

PLANETA I SATELICI,

komedja w 4-ch częściach, prozą

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ MÉRY

PRZEŁOŻYŁA

Ludwika Sabowska.

(Ciąg dalszy).

SCENA ÓSMA.

GABRJEL, HIPOLIT, BARALIER, LEON d'ORVIGNY.

BARALIER. Przepraszam pana, popełniłem błąd, godzi się wybaczyć.

GABRJEL. Nie wybaczam panu, szukaj służących u podobnych tobie.

LEON D'ORVIGNY *(do Gabrjela)*. Panie, winieneś pan poważanie starcowi.

BARALIER *(do Leona)*. Ja nie jestem starcem, pan mnie znieważasz broniąc mnie w ten sposób.

HIPOLIT. Panowie! zapominacie o obowiązkach przyzwoitości! szanujcie dom pani de Saint-Marc.

LEON D'ORVIGNY. Słusznie pan mówisz.

GABRJEL. Tylko to jest słusznem co ja mówię; wszyscy trzéj jesteście zuchwalcy!

WSZYSCY. A! to za nadto!

GABRJEL. Oto moje imie; mieszkam tutaj, jestem na rozkazy panów.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ SAMI, KAROLINA.

KAROLINA *(oznajmiając)*. Panowie, śniadanie podane.

GABRJEL. Ah! chodźmy jeść, śniadanie przedewszystkiem.

HIPOLIT. Nie, panie, pójdę na śniadanie do gajowego; znajdę z nim więcéj przyjemności jak z tobą.

GABRJEL. I owszem, będę jadł sam, zjem za dwóch; zwykle, jada się śniadanie po pojedynku.

HIPOLIT. Ja jadam i przed i po.

GABRJEL. A ja jadam zawsze. *(Gabrjel i Hipolit wychodząc)*.

SCENA DZIESIĄTA.

BARALIER, KAROLINA, LEON d'ORVIGNY.

BARALIER *(do Karoliny)*. I cóż ja będę robił tutaj? Proszę o radę.

KAROLINA *(na stronie)*. Ma słuszność. *(Głośno)*. Jakto nie domyślasz się pan niczego.

BARALIER. Słowo daje, że nie... Kto to jest ten mężczyzna?

KAROLINA. Wytłumaczę panu wszystko późniéj; zapytujesz mnie pan o podobną rzecz, pan co tak dobrze znasz kobiety!

BARALIER *(tryumfując)*. Ah!... tak... rozumiem.

KAROLINA *(na stronie)*. Szczęśliwszy jest odemnie, bo ja sama nic nie rozumiem.

Baralier. Domyślałem się tego! . . . (*Ściska rękę Karoliny*). Powrócę jak ten zawadjaka odjedzie . . . Ah! wdowy! . . . Tymczasem powiem ci tylko dwa słowa, bardzo znaczące . . . Do widzenia . . .

Karolina. Do widzenia, panie Baralier. (*Baralier wychodzi*).

Leon d'Orvigny (*wychodząc z głębi*). Więc pani de Saint-Marc nie wyjdzie ze swego apartamentu?

Karolina. Migrena . . .

Leon d'Orvigny. Dosyć, poprzestań na migrenie; czy nie ma lepszych powodów?

Karolina. Na wytłumaczenie nieobecności kobiety, najlepszem powodem jest zawsze ten o którym się zamilcza.

Leon d'Orvigny. Prawda.

Karolina. Pamiętaj pan tylko że się zobowiązałeś słowem, meldować się tutaj codziennie.

Leon d'Orvigny. Tak, dopóki żyć będę.

Karolina. To się rozumie, i jesteś pan obowiązanym żyć także.

Leon d'Orvigny. Karolino, zrobię ci zwierzenie.

Karolina. Strzeż się pan, mogłabym pana zdradzić.

Leon d'Orvigny. Właśnie tego pragnę.

Karolina. Postąpisz pan rozważniéj zachowując sobie swoje zwierzenie, nie chcę dowiadywać się tego o czem już wiem.

Leon d'Orvigny. Powiedz pani de Saint-Marc . . .

Karolina. Panie, jeżeli powiesz jedno słowo więcéj zwracam pięć tysięcy franków dochodu które mi pan dałeś.

Leon d'Orvigny. Słówko tylko. Będęż szczęśliwszym jutro?

Karolina. Pod warunkiem że pan będziesz dzisiaj grzeczniejszym.

Leon d'Orvigny. Do jutra więc. (*Wychodzi*).

SCENA JEDENASTA.

KAROLINA (*sama*).

Mój Boże! . . . nasz klasztor w takim rozruchu! . . . Przypomina mi to bajkę . . . . Dwie kobiety żyły spokojnie . . . przyszedł ktoś . . . mężczyzna . . . i wojna wybuchła . . . Miłość . . . Zobaczymy co będzie. Tymczasem nudy się wyprowadziły, skończył się kontrakt jaki zawarły z tym zamkim.

(*Zasłona spada*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Ta sama dekoracja.

SCENA PIERWSZA.

(*Orkiestra gra na wstępie arją z Wolnego Strzelca*).

HIPOLIT (*sam nucąc piosnkę myśliwską*).

Mój nowy nieprzyjaciel Gabrjel Lorot, który był wczoraj moim starym przyjacielem, odjeżdżając zostawił mi tę kartkę, wcale nie słodką. (*Czyta*).

„Panie,

„Znajduj się jutro, o wschodzie słońca, nad brzegiem stawu, z odwagą, bronią, świadkiem i pistoletem.

„Pański nieprzyjaciel,

„*Gabrjel Lorot.*“

Wybornie! . . . wszystko już gotowe, wyjąwszy mego świadka; gdzie u djabła szukać tu świadka? . . . Zobaczmy czy słońce już weszło. (*Wygląda oknem na wpół rozebrany*). Słońca nie widać . . . lecz, w zamian widać trzy stare kobiety, które musiały być zawsze cnotliwe, bo lubią patrzyć na wschodzące słońce . . . Co one robią? . . . Dzień dobry, paniom . . . dzień dobry! . . . Oh! jak one z ukosa na mnie patrzą, istne czarownice z Macbetha! . . . Znikły . . . tem lepiéj! szpeciły sobą krajobraz . . . Oh! oto pan Baralier; wczoraj, widziałem go tylko przez chwilkę . . . Nic to nie szkodzi, może być świadkiem.

SCENA DRUGA.

HIPOLIT, BARALJER (*pomieszany*).

Hipolit. A! dzień dobry! uściskajmy się. Zyskałem sobie przyjaciela przeszłego czwartku i straciłem go już; muszę się pojedynkować z nim dziś rano; moja przyjaźń jest do wzięcia, oddaję ją panu, pan ją przyjmiesz i będziesz mi służył za świadka.

Baralier. Mój drogi panie, niepodobna mi służyć panu za świadka w tym pojedynku.

Hipolit. Ah! mój Boże! . . . i dlaczegoż to?

Baralier. Jestem agronomem.

Hipolit. Ah!

Baralier. Oraz wice-prezesem kasy oszczędności.

Hipolit. Czy nie mógłbyś pan na dwadzieścia cztery godzin podać się do dymisji z agronomstwa i prezesostwa kasy oszczędności?

Baralier. Niepodobna! Zresztą nie o to chodzi!

Hipolit. O cóż więc chodzi? Zapytuję pana, i pragnąłbym odpowiedzi.

Baralier. Nie moja to tajemnica, należy ona do innéj osoby.

Hipolit. Tembardziéj trzeba ją rozgłosić.

Baralier. Kobieta ma w tem udział.

Hipolit. No, przecież opowiedz mi pan to . . . Zapewne pański syn ma jaką intrygę miłosną?

Baralier. Nie mam wcale syna.

Hipolit. Jaki niegodny synowiec, w rodzaju moljerowskim?

Baralier. Nie mam wcale synowca.

Hipolit. Pan sam stanowisz całą swoją rodzinę?

Baralier. Tak jest.

Hipolit. To wiele, jak na jednego człowieka.

Baralier. Panie Hipolicie, ile lat pan masz?

Hipolit. Dwadzieścia, jak wszyscy.

Baralier. Jesteś pan młodym, szacowna wada, ale to jest rzeczywiście wada.

Hipolit. Zapewne to jest jedyna z któréj się pan poprawiłeś.

BARALIER. Przekonamy się o tém późniéj.

HIPOLIT. Jużeśmy się przekonali.

BARALIER. Otóż gdybyś pan miał doświadczenie dojrzałego mężczyzny, tobyś zrozumiał, że interes w którym idzie o ożenienie, jest pierwszym niż sprawa honorowa.

HIPOLIT. Ah! pan żenisz kogoś ze swoich przyjaciół?

BARALIER. Mojego najbliższego przyjaciela z którym się nie rozłączam nigdy.

HIPOLIT. Nawet w téj chwili?

BARALIER. Nawet w téj chwili.

HIPOLIT *(patrząc wokoło siebie)*. Więc to chyba ja jestem.

BARALIER. Nie.

HIPOLIT. A więc pan?

BARALIER. Dlaczegoby nie?

HIPOLIT. Słusznie! Wistocie, kto panu mógłby przeszkodzić żenić się? Tylko kobieta wybrana przez pana może się sprzeciwić pańskiemu wyborowi.

BARALIER. Panie Hipolicie Jonsac, niezmiernie mnie to dziwi, że pan o niczem nie wiesz.

HIPOLIT. Więc powiedz mi pan, będę wiedział i pan się więcéj dziwić nie będziesz.

BARALIER. Czy o niczem panu nie mówiono?

HIPOLIT. O niczem.

BARALIER. To ja milczę.

HIPOLIT. Oh! pan powiesz! nie będziesz milczał!

BARALIER. Czy mnie pan zmusisz?

HIPOLIT. Z bronią w ręku.

BARALIER. Widzisz pan, czekam tutaj pani de Saint-Marc.

HIPOLIT. Ażeby ją zaślubić?

BARALIER. Prawie.

HIPOLIT. O piątéj godzinie z rana?

BARALIER. Jestto schadzka naznaczona na dzień wczorajszy.

HIPOLIT. Zdaje mi się, że pan przychodzisz na nią zbyt późno, chociaż tak rano.

BARALIER. Czyś pan zapomniał co się stało wczoraj w zamku?

HIPOLIT. Niech się panu zdaje żem zapomniał.

BARALIER. Pokojówka pani de Saint-Marc przybyła na gwałt do mojego mieszkania, ażeby mnie przyprowadzić tutaj ... Czy to niejasne?...

HIPOLIT. Nie tak znów bardzo jasne. Wyjaśniaj to pan ciągle, a zrozumiem lepiéj.

BARALIER. Powiedziała mi ona: „Pani de Saint-Marc wzywa pana na rozmowę poważną.“ Spojrzałem jéj w oczy badawczo. Wtedy uśmiechnęła się i dodała: „Zdaje mi się że chodzi o pogadankę agronomiczną...“ Nie mam już dwudziestu lat, to szczęście, to szczęście!... Znam kobiety ... Przypomniałem sobie zaraz dwadzieścia rozmów jakie miałem z moją piękną sąsiadką o nieprzyjemnościach życia wdowiego i kawalerskiego; ubrałem się jak w święto, ażeby się przedstawić o ile można najkorzystniéj, przybywam tutaj i znajduję zamek w takim zamęcie jak podczas pożaru. Było mi trudnem widzieć panią de Saint-Marc, nawet na chwilę. Kto inny na mojém miejscu, jaki dzieciak, byłby zakłopotany; ja wycofałem się bez najmniejszego nalegania, nie chełpiąc się z doznanych względów. Wszystko to są rzeczy, za które kobiety odwdzięczają się wcześniéj lub późniéj; sądzę, że uprzedzam zamiary pani de Saint-Marc oznaczając sam na dziś rano chwilę téj poważnéj rozmowy, która wczoraj nie mogła przyjść do skutku z powodu okoliczności niezależnych odemnie.

HIPOLIT. Panie Baralier, żartujesz pan bardzo przyjemnie, i słuchałbym pana chętnie aż do wieczora, lecz obowiązek honorowy zmusza mnie odejść. Słuchając pana, doczekałem się wschodu słońca, a nie mam jeszcze świadka.

BARALIER *(siadając)*. Życzę panu dobrego powodzenia.

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI, GABRJEL LOROT, *(za nim dragon)*.

GABRJEL *(z głębi)*. Cóż to panie! Trzeba przychodzić po pana aż tutaj? Każesz mi pan odbywać wartę nad brzegiem stawu. Czy mnie pan bierzesz za czaplę?

HIPOLIT. Przedewszystkiem, szanuj pan sen kobiet, i nie mów tak głośno.

GABRJEL. Nie przyjmuję żadnych lekcji, tylko daję; czy jesteś pan gotów wziąść jedną?

HIPOLIT. Szukam świadka ...

GABRJEL. A ten jegomość co tu robi?

BARALIER *(przestraszony)*. Czekam ...

GABRJEL. Nie czeka się panie! Chodźcie obadwaj.

BARALIER. Pozwalam panu pójść, oto wszystko.

HIPOLIT *(do Baraliera)*. Chodź pan i niech się to raz skończy ...

BARALIER. Pozwól mi pan powiedzieć dwa słowa pani de Saint-Marc.

HIPOLIT. Pani de Saint-Marc wstaje w południe.

GABRJEL *(wskazując na kawalerzystę)*. Panie! memu świadkowi nudzi się czekać!

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI, KAROLINA.

KAROLINA. *(Wchodzi kończąc się ubierać)*. Panowie, czy się godzi w taki sposób zakłócać sen w całym domu?

BARALIER. W dwóch słowach pani wytłumaczę ...

GABRJEL *(do Baraliera)*. Cicho pan bądź; nie przestraszajmy kobiet, już ja się z nią ułatwię. *(Do Karoliny)*. Daliśmy tu sobie schadzkę myśliwską. — Pole dzisiaj wyborne, już uderzono podjezdnego, gończe dawno pospuszczane ze smyczy, słychać je jak zławiają; grają ogary, charty gonią kota, lis swojéj kity nie ocali, padnie wkrótce ofiarą, służba

go obieli,... Na koń panowie!... podobno i dzik nowy czeka nas w ostępie... strzelec mi mówił że ma trop.

KAROLINA. Otóż język którego nie zrozumiem nigdy.

GABRJEL *(śpiewając)*. Naprzód, naprzód, myśliwi...

KAROLINA. A będziesz-że pan cicho!

BARALIER *(pisze spiesznie kartkę ołówkiem opierając się Hipolitowi, który chce go uprowadzić)*. Mam czas tylko zostawić ten list w pani rękach, nie położyłem adresu, gdyż byłoby to zbyteczne. *(Wychodzą)*.

SCENA PIĄTA

KAROLINA (*sama*).

Trzech mężczyzn u nas, o piątéj godzinie rano!... Wczoraj zabijały nas nudy, dziś zbytek przyjemności gotów zrobić to samo. Czego on chce ze swoim listem? *(Otwiera list)*.

„Pani,

„Zrozumiałem panią: jesteś wdową, a ja jestem kawalerem; czy chcesz pani złączyć swoje wdowieństwo z mém kawalerstwem, aby było dwoje szczęśliwych? Jestem gotów; każde z nas ma piękny majątek w gotówce, złóżmy to razem u stóp ołtarza.

Nim zostanę kimś bliższym, pozostaję

Twoim sąsiadem

„Baralier.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr. — („Kupiec Wenecki“ dramat p. *Shakespeara)*.

Przedstawienie „Kupca Weneckiego“ *Shakespeara* należało do najświetniejszych wieczorów teatralnych téj zimy. Całość dramatu nie należy wprawdzie do pierwszorzędnych utworów nieśmiertelnego wieszcza, lecz główna i dominująca postać żyda *Shylocka* w tak skończonéj urobioną jest plastyce, że zapominając o ujemnych stronach całości, spieszemy za każdą razą do teatru, zwłaszcza jeżeli z trudnościami Shylockowskich sytuacji staczać ma walkę tak znakomity artysta jak występujący w gościnnych rolach *Rychter*.

Ślepe przywiązanie do rasowych tradycji i nienaruszalności życia familijnego, żelazna wytrwałość w zdobywaniu sobie materjalnéj niezawisłości bez względu na środki, pokora na zewnątrz w obec prześladowców a na wewnątrz wrząca zemsta podsycana nieustannie doznawanemi obelgi, zemsta szukająca tylko okoliczności aby się zrealizować bez miłosierdzia, bez żadnych względów — oto główne cechy wybranego ludu Izraela, skoncentrowane w osobistości Shylocka. Oddać tę postać z wiernością odpowiadającą intencjom autora, z psychologiczną prawdą, z przynależnym stopniowaniem demonicznego wzrostu i organicznego rozwoju, jest to zadanie, nad sprostaniem którego najpierwsi artyści świata w pocie czoła pracowali.

Śmiesznością byłoby stawiać porównanie pomiędzy Shylockami, na urobienie których złożyły się długoletnie ćwiczenia i prace artystycznych analityków, a Shylockiem pana *Rychtera*, który pierwszy raz w téj roli występował. Pierwszy raz powtarzamy, a mimo to całość gry p. *Rychtera* i niektóre detale zdumiewały nas szczęśliwym pochwyceniem istoty rzeczy i estetycznym jéj uplastycznieniem. P. Rychter jako prawdziwy artysta, wzgardził wywoływaniem płaskich fizycznych efektów i pokazywaniem djabelskich rogów, starał się on przedewszystkiem o dobrą mimikę odwzorywującą należycie stan duszy, i o stosowne wyrażanie uczuć i myśli głosem miarowym, który jakkolwiek nie brzmiał metalicznie, to przecież był okrągłym i pełnym. Czego nie dokonały studja to wypełniła szczęśliwa intuicja. Organiczny przebieg roli Shylocka daje się podzielić na 4-y następujące perjody: Pierwszy zaczyna się w akcie 1-ym scenie 3-éj od chwili, kiedy zaczepiony o pożyczkę udziela jéj pod warunkiem, że w razie nieoddania na termin, ma prawo wyciąć funt mięsa z piersi Antonia. Tutaj staje Shylock w zupełnie już urobionéj postaci, która potém wzrasta tylko, kurczy się bólem, olbrzymieje zemstą i pada naprzemian w miarę panujących okoliczności. Mniejsza o motywa dziwnego warunku pożyczki, Shylock sam upokorzony publicznie i oplwany na *Riolho*, chce upadlającym warunkiem zadrwić z chrześcijanina, głównie idzie o to, aby Shylock stał przed nami zupełnie już gotów do dalszego procesu. P. Rychter zbłądził tutaj o tyle, że gotując się na dalsze ważniejsze sceny, postać swego bohatera w tym pierwszym perjodzie blademi tylko opatrzył konturami.

Chrześcijanie zapraszają go na wieczór do siebie, dla Shylocka wyradzają się niepokoje i wątpliwości z tego powodu (akt 2-gi, scena 5-ta), a wykradzenie córki Jessykl przez Lorenzo zaczyna perjod drugi, gdzie plan zemsty kluje się i dojrzewa.

Zrewoltowany do głębi i rozwścieklony ujściem córki, która nie zapomniała zabrać z sobą klejnotów i dukatów, pała Shylock zemstą i w pomięszaniu miejsca sobie znaleźć nie umié. Rozpacz ostatnia ogarnia żyda, którego chrześcijanie zelżyli, okradli i upodlili w najtkliwszych punktach istotnego bytu. Zemsta syczy z jego ust, pogarda dla wrogów wstrząsa całą budową, znamionuje każden ruch. Scenę z Tubalem i aresztowanym Antoniem odegrał p. Rychter znakomicie, wykonanie giestu przy odejściu od tego ostatniego było wzorowe.

Antonio został aresztowany, ponieważ nie mógł się na termin wypłacić. Scena sądowa wypełnia dwa ostatnie perjody. W pierwszym dyskutuje Shylock z sędziami, i igrając jak kot z myszką leżącą pod pazurami, odpycha z zimną pogardą prośby wstawiających się za Antoniem przyjaciół i sędziów, a wkońcu rozpływa się nad mądrością przysądzającéj mu prawo przebranéj za adwokata Porcii. — Pan Rychter nie dość zimno traktował z sędziami, i nie dość chytrze powoływał się na swój oblig — słuszność służącego mu prawa zdaje mu się być zupełną, ztąd pewność siebie i spokój. Uniesienie nad mądrością przebranéj Porcii odda-

nie były najzupełniéj dobrze, lecz owo raptowne rzucenie się z nożem podniesionym na Antonia było niestosowne, Shylock w tym przybliżaniu się jest pozornie spokojny, znęca się tym właśnie spokojem a nóż do krajania układa w ręku *con amore* a nie z furją.

Ostatni perjod kiedy Shylocka wykręt prawniczy odsądza nietylko od praw, ale od majątku i religii, trwa parę minut tylko — lecz w życiu jego jest wiekiem. Chwilę tę oddał p. Rychter po mistrzowsku, jego wyjście było zupełnie oryginalnie stworzone i elastycznie bardzo wykonane.

Oprócz jedynéj jasnéj postaci Porcii, którą p. *Hoffmann* nieźle wcale odegrała, wszystkie inne role są mało ważne i tak przez Shakespeara niekorzystnie w świetle moralnem postawione, że niewiadomo co nam większe sprawia obrzydzenie: zaciekłość niemiłosierna żyda, czy też podłość chrześcijan.

O...le.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(„Fragment powieści“ poemat p. *Leonarda Sowińskiego.* Lwów. Nakł. Wydaw. Mrówki. 1869. — „Obraz europejskiego społeczeństwa w drugiéj połowie XIX wieku“ p. *Autora Upadku Europy.* Lwów. Nakł. Zelmana Igla. 1869).

Zaszczytnie znany autor poematu „Z życia“ i znakomity tłumacz utworów nieśmiertelnego „Tarasa Szewczenki“ p. *Leonard Sowiński*, zasłużył się znowu zarówno czytającéj publiczności jak złośliwym zoilom wydaniem poematu swego p. t. „Fragment powieści.“

Opuszczamy tutaj z umysłu dodatek „najnowszego poematu“, przekonani bowiem jesteśmy, że szanowny autor czerpał natchnienie z tych jeszcze czasów, kiedy się zwykło pijać szampańskie przed starym węgrzynem, nie zaś na odwrót. Inaczéj bowiem opiwszy się prastarego wyskoku młodzieńczych zawodów miłości, byłby je wypłakał przed samym sobą gazowemi łzami wdowy Cliquot, i nie przyoblekał płochego romansiku, w godną zaiste innéj treści spiżową formę swego wiersza.

Równie jak poprzednie, tak i leżąca przed nami praca p. Sowińskiego odznacza się bezprzykładną niemal siłą zewnętrznéj budowy i tytaniczną potęgą twórczego ducha. Niekłamany zapał unosi autora na skrzydłach natchnienia do wysokości, na któréj szczupła tylko garstka wybranych stawać zwykła, lecz zapał ten dyktuje również poecie pewne zbyt dosadne, szorstkie lub butne apostrofy, które mu ze strony krytyki wiele zarzutów sprowadziły. Co do nas, to wyznajemy otwarcie, że ową dosadność wyrażeń uważamy za jedną z oryginalnych cech p. Sowińskiego, i że się nam ona nawet podoba ta najeżona i wulkanicznemi skrami połyskująca lwia grzywa tratującego Pigmejów Tytana.

— Piękną nad wyraz lecz płytką i płochą była „Mania,“ a kochający ją Leon widział to, lecz nie był w stanie pozbyć się téj nieszczęsnéj miłości, co zabijała wszystkie lepsze jego instynkta . . .

„Dajcie mi furji bicz i pochodnię hańby piekielną!
Wydarłbym z bratnich serc ten szał, gadzinę tę bezczelną,
Harpiję młodéj krwi, hyenę wiecznie wściekłą z głodu —
Niech wyłaby, jak pies konający, w oczach narodu!“
„Ileż to mężkich dusz nadziejami wielkich za młodu,
Ile ogromnych sił z namaszczeniem i wolą dzielną,
Nagle runęło w proch, trucizną jéj tkniętych śmiertelną!
Gdzież pomniki ich prac?!... Gdzie plon steranego zawodu?!...“

Temi słowy piętnuje poeta ową ujemną miłość, zabijającą o tyle mężczyznę, o ile miłość dodatnia uszlachetnia go i podnosi. Nie mamy prawa pytać go dla czego bohater jego takiéj ujemnéj właśnie oddawał się miłości, boć przecie wybór tematu do autora tylko należy, boć zresztą widocznym jest aż nadto, że temat ten wzięty jest z życia blizko poetę obchodzącego! — Zresztą wyznaje sam autor, że bohater jego Leon „walk potrzebował koniecznie,
Bez walki nie mógł żyć... Więc biedak porywał się wiecznie
Na świat, na los, na ziemię i niebo... własne swe szczęście
Deptał i klął, pokazując litującym się pięście.“

Znamy typy tego rodzaju, typy fatalnie nudne, chore duchowo, szarpiące się ze mgłą febrycznéj wyobraźni, tęskne, wątpiące, słowem raz jeszcze przenudne i trapiące siebie i drugich. Nic nadzwyczajnego zatém, że figlarna Mania nawet, znudzona sentymentalizmem Leona, pewnego pięknego wieczora zasnęła na jego łonie snem wiecznym:

„Objęła go, o skroń rozpaloną główkę oparła...
I jęcząc, drżąc, bez sił, jak gołąbek senny zamarła.“

Następny wiersz jednak a zarazem ostatni ustęp „Fragmentu powieści“ opiewa:

„Tu kona pieśń... gorsza niż śmierć mi ją dola wydarła.“

A więc Mania właściwie umarła tylko dla Leona — odbiegła go i żyje dla drugich... tym lepiéj.

Nie widzimy potrzeby zastanawiać się dłużéj nad treścią poematu, którego forma jest przepyszną, radzimy czytać ten wiersz kuty w granicie, skandujący się jak rymy Wirgilego, a śmiały jak lot orła.

Pracowita, niezmęczona „*Mrówka*“ zrobiła nam wielką przysługę starannym i ozdobnym wydaniem „Fragmentu powieści.“

„Obraz europejskiego społeczeństwa w drugiéj połowie XIX wieku“ przez nieznanego nam autora nieistniejącéj w polskim języku książki o „Upadku Europy“ zawiera w dwóch maluczkich tomikach in 8-vo na 117 str. razem, następujące poważne materje: 1) Wychowanie domowe, 2) Wychowanie na ulicy, 3) Karczmy, piwiarnie, kawiarnie. 4) Teatra, 5) Salony, 6) Gry publiczne.

Złapawszy się na szumny tytuł i imponujące nagłówki rozdziałów, przeczytaliśmy owe dwa tomiki i jesteśmy teraz w kłopocie co właściwie o nich czytelnikom naszym powiedzieć mamy. Ten obraz europejskiego społeczeństwa dziwną jakąś malowany jest metodą, niema tam bowiem ani kolorytu, ani perspektywy, ani planów, ani żadnéj rzeczy która do obrazu potrzebną jest. Obraz ten nie jest również kopją żadnego ze znanych mistrzów, ale poprostu mięszaniną oderwanych utopii *Rousseau'a*, zdań moralnych *Micheleta*, fantazji *Victora Hugo*, dat statystycznych i t. d., okraszoną licznemi wypisami z Almanachów i konversationslexikonów. Autor należy widocznie do partji malkontentów ze wszystkiego co jest, i patrzy się na świat przez pryzmat tak czarnéj melancholii, że zaiste dziwić się należy że dotąd nie opuściła go chęć zakończenia na jakiéj pustyni téj nieznośnéj doczesnéj pielgrzymki.

„Przedstawiając, mówi on w przedmowie, obraz społeczeństwa europejskiego, nie mam zamiaru okazania tego, co zrobiła *dobra wola* człowieka kierowana *rozumem*, ale chcę zwrócić uwagę na to, co zdziałała *zła wola* ludzi pod przewodnictwem *bezrozumnych* pojęć.“ Po takiém założeniu trudno się było doczekać czegoś lepszego jak np. następujące twierdzenie: „Dziecię przychodzi na świat niewinném. Natura pociąga je ku dobremu. Człowiek rozwija jego złe skłonności.“ — Obok wewnętrznéj sprzeczności cóż to za straszna degradacja towarzyskiego obcowania ludzi pomiędzy sobą. A więc człowiek jest tylko dobrym w bezwiedzy, a więc upada z wiedzą, a więc stan społeczny jest upodleniem człowieka, a więc tylko stan natury zbawić nas może, a więc vivat Jan Jakób Rousseau! — Mniejsza zresztą o utopije, więcéj bowiem jeszcze dziwi nas, że autor nazwawszy luźną gadaninę „obrazem europejskiego społeczeństwa,“ nigdzie nie postawił wniosku lub rady jak należy usunąć złe przeciw któremu peroruje i jakie dobro na tym postawić miejscu. Dobre chęci i zacne usiłowania autora aby coś zdobyć dla prawdy i ludzkości są widoczne, szkoda tylko, że środki nie są potemu.

O...le.

Sprawozdanie z pierwszego posiedzenia komitetu kobiet w Berlinie.

(Dokończenie).

(W. O.) Na porządek dzienny drugiego dnia posiedzeń przyszły przedewszystkiem obrady nad mającemi się założyć fachowemi szkołami dla kobiet. Referował w tym przedmiocie dyrektor szkoły przemysłowéj w Brieg pan *Nöggerath*, i postawił następujące rezolucje: 1) Zadanie szkoły polega na przygotowywaniu płci pięknéj do wszelkich zajęć ekonomicznych, domowych i przemysłowych, 2) Zadanie to daje się tylko skutecznie rozwiązać za pomocą systematycznych wykładów, 3) Zakładanie i popieranie takich szkół jest obowiązkiem zwierzchności gminnéj.

Drugi referent prof. *Emminghaus* z Karlsruhe dopełnia poprzednika, życząc, aby szkoły takie przygotowywały kobiety do nauk gimnazjalnych i studji uniwersyteckich, a kilka z obecnych pań wyczerpnąwszy ostatnią cierpliwość zebrania długiemi swemi mowami i skargami, przyczyniły się silnie do przyjęcia wspomnianych punktów.

Po półgodzinnéj pauzie przychodzi na salę obrad znany deputowany do berlińskiego parlamentu p. *Schultze-Delitsch*, którego mowa o sklepach do sprzedaży wyrobów kobiecych przyjętą została z nieopisanym zapałem. Jako twórca niemieckich stowarzyszeń produkcyjnych i robotniczych, wzywa on kobiety do współudziału, sądzi bowiem, że przystąpienie ich da wielką podporę moralną tym stowarzyszeniom. Zgromadzenie wniosek ten z oklaskami przyjmuje.

Ostatni przedmiot porządku dziennego, dotyczący kształcenia kobiet na nadzorczynie chorych po za obrębem organizacji kościelnéj podnosi prof. Dr. *Virchow*. Następujące przez niego postawione wnioski zostały jednogłośnie przyjęte: 1) Należy przeprowadzić, aby także oddział męzki w szpitalach był oddany opiece kobiet, 2) Każden wielki szpital powinien posiadać utrzymywaną przez rząd szkołę pielęgnowania chorych. 3) W każdym powiecie lub wielkim mieście istnieć powinno stowarzyszenie zbierające składki pieniężne na kształcenie pielęgnujących i wspieranie ich jakoteż chorych. 4) Wszystkie kobiety oddające się pielęgnowaniu chorych, powinny zawiązać się w jedno wielkie stowarzyszenie, w celu wzajemnego wspierania się w razach potrzeby i niemocy fizycznéj, 5) Należy się starać, aby w szkołach pielęgnowania chorych wykładano ogólne zasady medycyny.

Następnie miała głos panna *Ludwika Büchner* z Darmstadtu. Długa i rozsądna jéj mowa miała przedewszystkiem wykazać wielką praktyczną skuteczność szkól dla kształcenia pielęgnujących, i dać obraz działalności stowarzyszenia Alicy w Darmstadzie funkcjonującego w tym właśnie kierunku. Prof. *Emminghaus* mówił o podobnych urządzeniach istniejących w W. X. Badeńskim, panna *Calm* z Kassel o kobietach oddających się praktyce lekarskiéj w Ameryce, a w końcu panna *Schmidt* z Lipska wyraziła w imieniu zebrania serdeczne podzięki prezydującemu prof. Dr. *v. Holtzendorf*, który o godzinie $4\frac{1}{2}$ zamknął zebranie.

Następne dwa dni bawiono się wybornie w kołach towarzyskich Berlina, a delegatki rozjechały się zadowolone z *wielkich* dzieł jakie dokonały!

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.

Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*